

Anna Spólna
Politechnika Radomska, Radom

Zdradzony przez mowę. O tomie *Pod światło* Jacka Podsiadły

[Jacek Podsiadło, *Pod światło*, Bez Napiwku, Opole 2011, ISBN 978-83-933728-8-1, ss. 53]

Bezsens znaczy niewiele mniej aniżeli sens.
Jacek Podsiadło, *Wahadło i passa*

Jacek Podsiadło jest poetą ważnym dla tych, którzy traktują literaturę jako obszar „życiopisania” (według nośnej formuły Henryka Berrezy, użytej po raz pierwszy wobec twórczości Stachury). Jego utwory stanowiły najdoskonalsze chyba wcielenie autobiografizmu w poezji „bruLionu”. Jako autor setek wierszy, przez kilkanaście lat sygnowanych datami dziennymi, układających się w rodzaj sukcesywnie narastającego lirycznego dziennika, był pisarzem, z którym nawiązywało się szczególnie, osobową więź. Sympatyzując z ruchem anarchistycznym, ekologicznym, pacyfistycznym, radykalnie manifestował swoją twórczą niezależność (wiersze atakujące autorytety – Jana Pawła II, Czesława Miłosza; zerwanie współpracy z „Tygodnikiem Powszechnym”, który oskarżył o cenzurę; tworzenie Domowego Radia Studnia, promującego kulturę alternatywną). Po okresie niezwyklej aktywności pisarskiej, zamkniętym w końcu lat 90. dwoma tomami *Wierszy zebranych* i *Wychwytem Grahama*, wydał już tylko niewielki zbiór *Kra* (2005) i, po sześciu latach, *Pod światło*, książkę poetycką w formie elektronicznej.

Pora napisać wprost: *Pod światło* rozczarowuje pod wieloma względami. Podsiadło, bądź co bądź uznany poeta-laureat¹, proponuje wiersze,

¹ Grand Prix II Edycji Konkursu na BruLion Poetycki, Nagroda Georga Trakla, Nagroda Kościelskich, Nagroda Czesława Miłosza to tylko niektóre wyróżnienia otrzymane przez Podsiadłę.

którym daleko do jego wcześniejszych dokonań, dających „nowe wzory wrażliwości, nowe tony mówienia”². Czego więc ubywa w poezji Podsiadły?

Ucieczki donikąd

Decyzję opublikowania e-booka zamiast tradycyjnego zbioru wierszy można traktować jako kolejną próbę zachowania kontroli nad swoim pisaniem – i życiem. Pisarz pozostaje poza głównym obiegiem wydawniczym, a tożsamy z nim bohater książki szuka sobie enklaw prywatności. Szkoda, że jego osobność niepokojąco przypomina przyczajenie lub emocjonalne odrętwienie, co zapowiada już *Przedmowa*:

[...] Leżmy. Tamta wrzawa,
siejba, kośba, szajba, żwawa
krzątania i kurzawa
to gra o nic i niczyja,
nie ma co się zastanawiać³.

Tropy autobiograficzne są starannie zacierane, nadal jednak „ja” liryczne i „ja” autorskie nie dają się oddzielić. Obcujący z liryką Podsiadły od dwudziestu kilku lat pozbierają okruchy prywatności poety (wspomnienie Anny Marii, pierwszej wielkiej miłości poety; Olga, Marianka, Dawid – najbliżsi; mazurska Kraina Czerwonych Dachów; okolice Ostrowca Świętokrzyskiego, skąd wyruszył kiedyś w drogę „prześwieflony przez baśnię” chłopiec z *Lamentu świętokrzyskiego*, 31). Są też imiona znacząco przemilczane, wokół których obracała się niegdyś oś świata.

Znikły listy, pisane do przyjaciół z krótkich przystanków w nieustającej podróży. Wraz z nimi język bezpośredniej rozmowy, kolokwialny i niewymuszony, ważny dla odświeżenia poetyckiego idiomu po 1989 roku. Poezja Podsiadły, nieco pochopnie wrzucona wówczas do o’harystycznego worka, udowodniała, że można nasycać liryczne wyznanie uważną obserwacją codzienności, rozszerzać granice wiersza aż do brauworowej, whitmanowskiej z ducha logorei, a jednocześnie nie rezygnować z kunsztownych gier z tradycją.

Ekozoficzne wiersze kontemplujące jedność kosmicznych sił życiowych, wspólnotę wszystkich stworzeń, charakterystyczne dla poety, są w książce nieliczne i tracą swą moc. Podmiot dostrzega fascynującą jedność wszechświata, ale coraz rzadziej czuje się jej częścią i słyszy w sobie „dawną muzykę” (*Strzeżenie i metrum*, 38). Choć państwo kretów, rozcią-

² Pisał o nich niegdyś M. Stala, *Cały ten zgiełk. Kilka uwag o sytuacji i świadomości nowej poezji, zapisanych jesienią 1995 roku*, [w:] tegoż, *Druga strona. Notatki o poezji współczesnej*, Kraków 1997, s. 177.

³ J. Podsiadło, *Pod światło*, Opole 2011, s. 5. Wszystkie cytaty pochodzą z tego wydania, w nawiasie podaje tytuł wiersza i numer strony.

gające się pod powierzchnią ziemi, przesyła nam niezrozumiałe sygnały (*Masz wiadomość*, 14), a niemowlę pełza jak waran, powtarzając formę wypracowaną przed milionami lat przez Matkę Naturę (*Robinia i judaszowiec*, 17), udomowiony człowiek zrywa więz z otaczającymi go siłami przyrody. Droga pozostaje dla Podsiadły słowem zapisywanym wielką literą: cóż, kiedy w całym tomie ma okazję pojawić się tylko raz. Wolność przestaje być dostępna, o ucieczce można tylko pomarzyć:

A moje rachunki?
Zawiodły mnie. Nie tu i nie tak
miałem żyć [...].
Włóczykij za oknem zostawia
nierówny ścieg śladów, kroki stawia duże, omija kałuże, nie wchodzi
w rachubę.

(*Przestrzeń i oś*, 28)

Autor wielu ważnych „wierszy przeciwko państwu”, propagujących uwspółcześnioną wersję „obywatelskiego nieposłuszeństwa”: H. D. Thoreau, w najnowszym tomie zestawia rymowany manifest *Wiersz zalecany przez ministerstwo edukacji do użytku szkolnego*, który kończy inwokacyjne: „Polsko. Ojczyzno moja. Jesteś jak choroba” (42). Wydaje się, że Podsiadły, wybierając tę pozornie obrazoburczą, w gruncie rzeczy niesmaczną parafrazę Mickiewiczowskiego poematu na przynętę dla nabywców swego e-booka, oddaje własnej poezji niedźwiedzią przysługę. Wezwanie do przetestowanej niegdyś na sobie ucieczki ze szponów systemu szkolnego, Kościoła, polityki, mediów zapisuje w formie tak zwulgaryzowanej, jakby adresatami byli rzeczywiście prymitywni młodociani wagarowicze.

Rzeczywistość skrzeczy

Pod światło widać mniej? Najwyraźniej, skoro w zbiorze tak mało celnych obserwacji, opisów przechwytyjących drobiny codzienności, by znaleźć dla nich miejsce w wierszu. A przecież Podsiadło potrafi kilkoma zdaniem wydestylować ze wspomnień esencję, jak w inicjalnych strofach *Lamentu świętokrzyskiego*, które bezbłędnie oddają klimat początku lat siedemdziesiątych na prowincji, za sprawą odnalezionych zapisków ojca, działających jak magdalenka Prousta:

Gdyby jakiś pamiętnik. Jakieś ja, jakieś dziś, jakieś bardzo.
Owszem, opasły zeszyt: cegła, złom, boazerie,
rury ocynkowane, ilość, ceny i daty.
W inne opisy nie wierzył. Nie miałem innego taty.

Byli to ludzie prości. Wysysali szpik z kości.
 Nieśli jasny gwint słońca na pobrużdżonych czołach.
 Ich dzieci jadły cukier. Wspominało się brukiew.
 Słabości nie wyznawało się nawet kobietom.
 Muchy zabijali i Chleb zawijali, tyłki podcierali
 i świat wyjaśniali tą samą gazetą.

Był to świat „Słowa Ludu”, gospodarczego cudu
 dla którego ruiny nie są gorsze od budów,
 świat umierania z nudów i prób kindersztuby.
 Do domu wprowadza się jasność, telewizor „Rubin”.
 (31)

„Nurkował w mowie jak w wodzie i bez niej byłby nikim”: to wyznaczenie, powtarzające deklarację *Mojej wiernej mowy* Miłosza, prowadzi Podsiadłę do zgola odmiennych wniosków. Noblista, przekonany o kryzysie reprezentacji⁴, podejmował jednak wysiłek oddawania piękna i sensu świata w wierszu, na przekór zwątpieniu. Jako uważny czytelnik cyklu *Świat. Poema naiwne*, jego uczeń uznaje, że „Słowo jest snem, nie ciałem” i ostatecznie sytuuje się po stronie prawdy życia przeciwstawionego literaturze (*Posłowie*, 46).

Poezja opisowa, w której jest miejsce na kontemplację urody świata, ustępuje miejsca zapisowi frustracji i zniechęcenia. Sarkastyczny *Psalm* (26) dokumentuje urazowe źródła niewiary w dobroć Boga i jego stworzeń. Teodyceę sprowadza się w wierszu do kilku klisz myślowych, pojawiających się wraz z odwiecznym pytaniem *unde malum?* Oto Bóg dopuszczający zło (przedstawiony karykaturalnie jako „bujający w obłokach” lub starotestamentowy surowy Sędzia, milczący i obojętny Bóg Hioba, Holokaustu, wojen) okazuje się ograniczony w swej wszechmoocy. Podsiadło próbuje się wpisać w nurt rozważań nad pochodzeniem zła, obecny w polskiej poezji co najmniej od Wielkiej Improwizacji, zintensyfikowany przez spór Różewicza i Miłosza oraz polemikę zamieszczoną w tomie *Na brzegu rzeki* tego ostatniego⁵, ale nie dodaje do niego nic zasadniczo nowego ani istotnego.

Rzeczywistość nie do zniesienia wdziera się do wierszy zbioru poprzez cytaty ze strony internetowej goniącej za sensacją, gazetowy news, epatujący okrucieństwem obraz. Przed ekspansywnym złem nie sposób

⁴ Co przekonująco wywiódł M. P. Markowski, *O reprezentacji*, [w:] *Kulturowa teoria literatury. Główne pojęcia i problemy*, red. M. P. Markowski, R. Nycz, Kraków 2006, s. 325.

⁵ Zob. jego wiersz *Do pani profesora w obronie honoru kota i nie tylko*, napisany w związku z artykułem M. Podrazy-Kwiatkowskiej *Przeciw okrucieństwu*, filozoficzny komentarz Leszka Kołakowskiego *Udręczenie* i odpowiedź teologa, Jana Andrzeja Kłoczowskiego OP, *Hiobowe zabawy?*, [w:] Cz. Miłosz, *Wiersze wszystkie*, Kraków 2011, s. 1095–1103.

uciec, nie można tak po prostu przyłączyć się do grona sprawiedliwych. Dla poety z Opola uprawianie poezji jest dwuznaczne moralnie, co wynika z poczucia jej bezradności wobec zła świata i ludzkiego nieszczęścia. Język, nawet jeśli nie staje się narzędziem nienawiści, będzie co najwyżej krzywym lustrem podstawianym rzeczywistości. Nie uratuje zakatowanej Khyry, nie poda jej kromki chleba, nie wymierzy kary jej rodzicom. „Musisz się zagłodzić, żeby dodać komentarz” – za sprawą tej pointy wiersz *Sentencja i wyrok* zmienia się z oskarżenia w samooskarżenie (24).

Na manowcach aliteracji

Podsiadło jako twórca zafascynowany bogactwem brzmieniowym polszczyzny, w zestawianiu ciągów aliteracji i kalamburów dorównujący Barańczakowi, w najnowszym tomie manifestuje bez umiaru swoje upodobanie do gier słownych (nawet tytuł książki jest echem nazwiska autora). Poeta zdaje się eksponować sztuczność lirycznej mowy. Obsesyjne eksponowanie współbrzmień i wewnętrznych rymów (np. paronomazje: ściek, ścieg, śnieg; Koran, kora, konar; „Chtoniczne auta autochtonów”) staje się nużące, a w końcu przesłania sens tekstu. Przybyło konceptystycznych układanek: *Przedmowa* i *Postowie* oraz *Spis treści* to osobne wiersze, których wersy są parafrazami zdań i zwrotów, pojawiających się w innych miejscach książki. Autor-sztukmistrz udowadnia, że z jednego materiału może zbudować wiele konstrukcji. Czytelnik może rozpoznawać kolejne składniki centonów, ale w końcu uświadamia sobie bezcelowość podobnych zabiegów (mnie zabrakło cierpliwości po rozszyfrowaniu szesnastego cytatu w *Spisie treści*). Niezależnie od możliwych konfiguracji, wymowa wierszy pozostaje podobna. Można w niej zaakcentować gorycz rozczarowania, nieśmiałą nadzieję, oskarżycielski ton lub melancholijną refleksję nad złudnością ludzkich przywiązań.

Recykling fraz i zwrotów służy z pewnością unaocznieniu wyeksponowanego w całej książce rozczarowania mową, poczucia niewystarczalności poezji. Podsiadło rozbudowuje mit dziecięcej mowy jako wycielającej pełni znaczeń, dzięki naturalnej umiejętności, traconej przez dorosłych, aż okazuje się, że „Wszystkie słowa są oderwane. / Znaczenia zdrapane do krwi” (*Me Cincee Ann, Me Cincee Ann*, 27), „Język to same errata” (*Lament świętokrzyski*, 33). Jako właściwy wstęp do wierszy proponuje „Krzyk, który był przed mową” (*Przedmowa*, 6), bycie „po słowie” oznacza nie koniec, lecz właściwy początek opowieści (*Postowie*, 46). Zabawy językowe, od których roi się w tomie, nie są dowodem wyzwalającej gry z porządkiem logiczno-gramatycznym zdań, tylko raczej zaplątania w niekończącą się tekstowość świata, utożsamianą z jego nieautentycznością. Tak można tłumaczyć pastisze barokowych figur sumacji i inwersji w *Matrycy* i *bękartie* czy szeregi paralelnych czwórkowych wyliczeń z wiersza *Bękart, żebrak, słowo, ciało*. Także swoboda, z jaką

autor wplata w wiersze echa poetyckiej tradycji (Kochanowski poprzez *Psalterz Dawidów*, Karpiński jako autor *Pieśni porannej i Pieśni wieczornej*) nie oznacza u Podsiadły przywiązania do jej zasobów. Podobnie jak w wypadku przywoływania *Pana Tadeusza*, jest to raczej gest eksponujący obcość i niewystarczalność literackiego dziedzictwa przeszłości. Inspirowana brytyjską „pop poetry” spod znaku Briana Pattena skłonność do mieszania znaków kultury wysokiej i popularnej, wzniosłości, sentymentalizmu i kpiny, pozwala zresztą podmiotowi mówić na jednym oddechu o doktorze Korczaku i makaku Pippi Långstrump.

Uwiedziony, porzucony

Elegijny ton, który zdominował już dwa poprzednie tomy Podsiadły, zmienia swoje nacechowanie. Więcej w nim goryczy przechodzącej w autoagresję. Bohater czuje, że „Rajdy niedorajdy przywiodły go donikąd, / do siebie samego pustego jak grób kogoś jeszcze żywego” (*Lament świętokrzyski*, 34). Teraz życie jawi mu się jako gra, zakończona przegraną za sprawą poezji, która przychodzi jako „lekkość spięta z mozołem, pochodnia i dym” i prowadzi przez wanitatywny namysł do sentymentalnej rezygnacji: „Zająłem się popiołem, / bo przyszło do mnie piękno, a piękno jest smutne” (*Popioły i znaki*, 10). Pozbawiony złudzeń, z nostalgią i niejakim zdumieniem wspomina siebie sprzed lat: wędrowca, „gwałtownika i pijaka”, maksymalistę szafującego słowem „wszystko”. *Pod światło* dokumentuje pożegnanie z młodością, rozumianą jako bezpowrotnie utracony stan ducha.

A tytułowe światło? Przebłyskuje. Na przekór melancholii, bohater Podsiadły, choć „stary, zepsuty, liczony między tych, co zdradzili gwiazdy”, przystaje też na dziecięcą prośbę córki o nieśmiertelność. „Żeby nigdy nie umarliśmy” – powtarza za Marianką (*Strzemię i metrum*, 38). W tomie znajdziemy niezwykle erotyk *Hostia i tarcza*, w którym świadomość uczuciowego i estetycznego kiczu miłosnych wyznań nie staje na przeszkodzie ostatecznej sakralizacji miłości, odartej z kulturowych ról, utożsamionej z obnażeniem najintymniejszej prawdy o człowieku. Na długo zapadają w pamięć proste, jednozdaniowe, bardzo osobiste zapiski, jak *Wigilia*: „Nie potrafię się przełamać” (39) lub wiersz bez tytułu: „*** Dopiero przed zimą widać / gdzie który ptak miał gniazdo” (11).

* * *

Nie wiem, czy Podsiadło potrzebuje wiernych czytelników. Wiem, że ja potrzebuję takich wierszy Podsiadły, w których będzie oddech, nadzieja, pasja. Niewiele ich w ostatnim zbiorze poety, ale jestem gotowa czekać, choćby kolejne sześć lat.